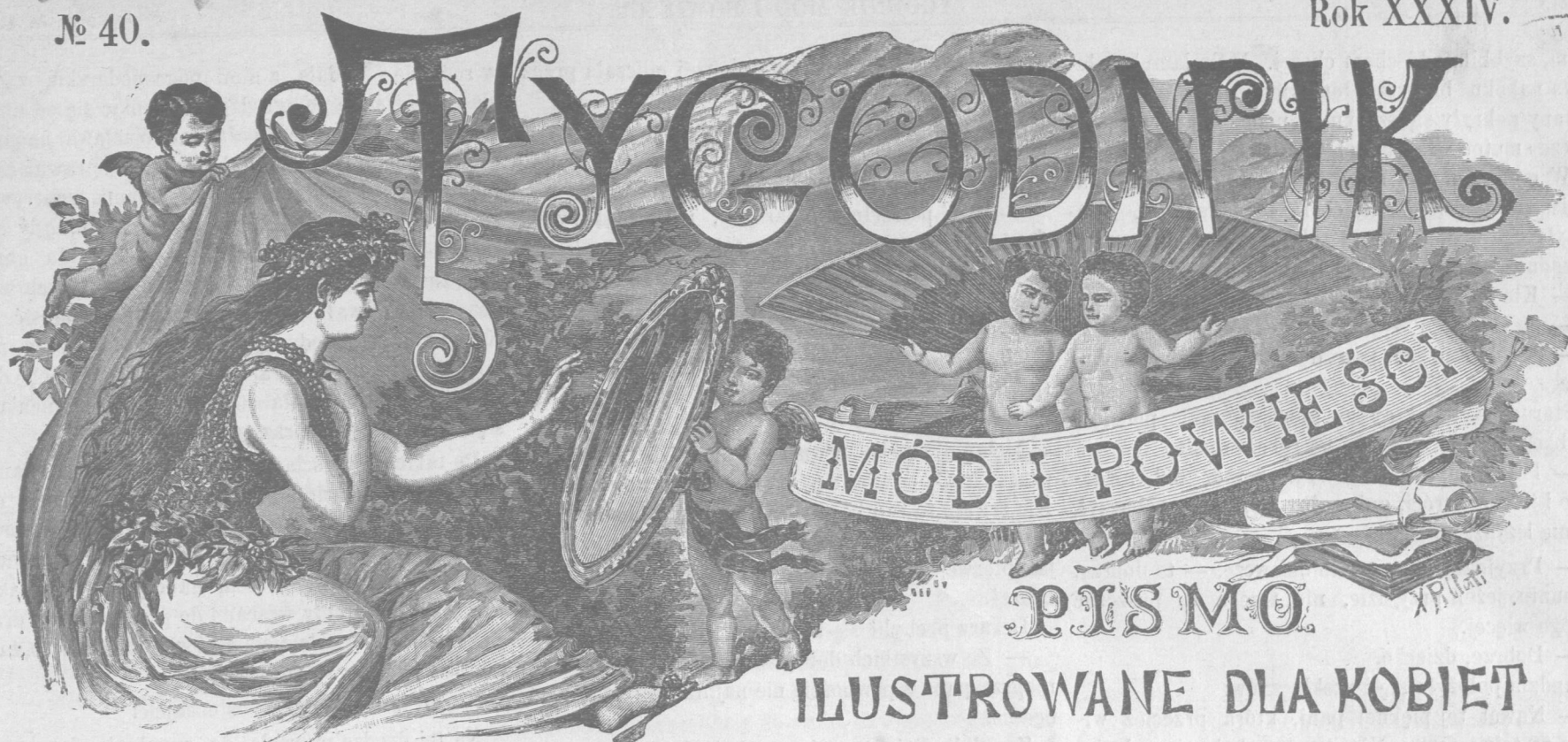




PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie

Kwartalnie. rs. 1.

Za odosłanie do domu kwartalnie kop. 10.

Na prowincyi

Kwartalnie. rs. 1 kop. 25.

Adres Redakeyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 19 Września 1 Października 1892 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:

We Lwowie i Krakowie

Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.

W Poznaniu

Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Panna Melania, powieść przez St. M. Rzętkowskiego (ciąg dalszy). — Średniowieczna przysięga. — Piśmiennictwo. — Niegdyś (wiersz). — Sybilla, powieść przez F. C. Philips i C. J. Wills, przekład Zofii Grabowskiej (ciąg dalszy). — Z tygodnia. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. — W dodatku: Nierozłączni, powieść przez Janinę Mairret (arkusz 2).

PANNA MELANIA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

St. M. Rzętkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Dwie zagadki rozwiązane.

Dzięki niezmiernie rozgałęzionym stosunkom panny Izabeli, Melania po paru tygodniach miała zajęć coniemiarą. Została protektorką czy opiekunką ochrony, przyłączyła się do dam, opracowujących projekt jakiegoś stowarzyszenia kobiecego, mającego na celu pomoc wzajemną, i stale uczęszczała na zebrania sobotnie pewnego gronka panien, które niezmiernie dużo rozprawiły o postępie i wiedzy. Złożyła już Bóg wie nie ile ofiar na wdowy, sieroty, na różne zakłady filantropijne, i bardzo mało brakowało do tego, ażeby nie zaciągnięto jej do projektowanego stowarzyszenia „dobrodziejek ludzkości,” którego inicjatorem był jakiś pan Damian, tymczasowo pozostający bez żadnego zajęcia. Pragnął on być z całej duszy założycielem tego towarzystwa i poświęcić mu się na usługi, jako do-

radca prawny, sekretarz i... kasyer. Gdyby nie to, że wczynie agitowania się tej sprawy i narad nad statutem „dobrodziejek” wyszła na jaw pewna bardzo brzydka historyjka z życia pana Damiana, doprowadzająca wielkiej jego umiejętności strzyżenia i golenia, kto wie czy ten pan nie byłby wkrótce golił i strzygł związanych w stowarzyszenie filantropiek.

Melania miała tedy zajęcia ogromnie dużo. Była w ciągłym ruchu, a u drzwi jej mieszkania poczęły się zjawiać coraz gęściej nieszczęśliwe wdowy, sieroty bez opieki i wszelakiego rodzaju nędzarze, oprócz emancypantek z krótko poobcinanymi włosami, z których każda sypała pomysły wielkie i zbawcze dla ludzkości, jak z rękawa.

Nieraz, przy herbatce wieczorowej, śmiano się u Wyżyków z jej trosk i kłopotów, z jej czynności i bieżaniny. Ale ona nie zważała na to wcale. Korzystała z każdej godziny na pociechę ludzkości cierpiącej i jeżeli pradiadowskie „máleparta” zdawało się jej ciężkiem jak kłątwa, śmiało mogła powiedzieć, że teraz odrabia złe i wynagradza je jak umie.

Tak — jak umie.

Umiała zaś naprawdę tylko brać wszystko za dobrą monetę, w najlepszej wierze i z najlepszymi chęciami. Ani się spostrzegła, że umiano z niej bardzo zręcznie zrobić najniższą służkę patentowanej filantropii, zabierającej bezceremonialnie trud, czas i pieniądze. Była najłatwowierniejszą z nowicyuszek, pełną zapału i gorącej żądzy czynu.

Było jej z tem jednak dobrze. Godziny, dnie i tygodnie biegły szybko. Nie miewała już teraz czasu, jak dawniej w Krzepinie, na czytanie po-

wieści angielskich i na muzykę. Dowiadywała się tylko od znajomych o tem, co się dzieje na świecie, a jeżeli kiedy uczuła znudzenie i zapragnęła spoczynku, siadała w dorożkę i kazała się wieźć do ponurego domu na przedmieściu, do babuni i Anieli.

Zadomowiła się u nich, na cichem poddaszu, w tych dwóch pokojach bielutkich i pełnych kwiecica.

A stało się to sposobem bardzo prostym. Andzia, jak przepowiedział Wacław, rozchorowała się znowu. Nie wolno jej było bezkarnie podnosić się z łóżka zawczasie, ani od szóstej rano siadywać nad robotą. Gorączka wróciła, z nią niemoc długą, za niemocą podejrzewana przez Melanią nędza, w której ona tylko mogła nieść ulgę i pociechę. Niosła ją więc, a niosła tem skwapliwiej, że tym sposobem na poddasze nikt inny nieść jej nie potrzebował. Nikt — nawet Wacław.

Była chwila, w której życie Andzi zdawało się wisieć... na nitce pajęczej.

Pewnego wieczora gorączka wzmogła się bardzo, przyszło aż do maligny. Przypadkiem tylko znalazł się tam młody lekarz, który też potem przysłał Melanią. Panna Bosińska przeraziła się, ujrawszy dziewczę rozpalione na twarzy, z oczyma błyszczącymi ogniem gorączki, z dłońmi splecione nad głową, z piersiami oddychającymi szybko, ciężko. Wacław ujął chorą za rękę, liczył w milczeniu uderzenia pulsu, a potem szybko pochwycił kapelusz i wybiegł za drzwi.

Dziwnie smutno i okropnie zrobiło się wówczas Melanii. Babunia, niby odrętwiała, siedziała w kącie, milcząca i wpatrzona w twarz wnuczki. W pokoju panowała ponura cisza, przerywana miar-

wym, szybkim oddechem chorej. Mała lampka płonęła naboku bladym płomykiem, a białe we dnie ściany pokryły się szarym cieniem, wzmagając jeszcze smutne wrażenie chwili.

W milczeniu takim, w ciszy przeminęło ze dwadzieścia minut. Nagle chora opuściła ręce, wpatrzyła się w Melanię szeroko rozwartymi oczami i, podnosząc się na łóżku, spytała:

— Kto to?

— Ja, Melania — brzmiała odpowiedź.

— Myślałam, że pan doktor — szepnęła Andzia.

Staruszka, usłyszawszy głos wnuczki, podeszła szybko ku niej i, ujawszy jej rękę, prosiła:

— Połóż się, Aneczko. Pan doktor był niedawno i jeszcze wróci; gniewałby się, gdyby zobaczył, że nie leżysz.

— Przyjdzie? — spytała dziewczę, — to dobrze. Babuniu, jeżeli przyjdzie, nie trzeba tu puszczać nikogo więcej.

— Dobrze, dziecko.

Andzia położyła się i rzekła znów:

— Nawet tej pięknej pani, która przecież widuje go tak często. Nie trzeba, babuniu. I pieniędzy od niej brać nie trzeba...

Popatrzyła przez chwilę na sufit, a potem dodała głośno i szybko:

— Jak wyzdrowieję i zabiorę się do roboty, to oddam jej wszystko... co do grosza. O, babuniu, nie trzeba brać!

Melania słuchała ze ściśniętym sercem. To o niej mówiono.

Staruszka spojrzała na nią z ukosa i mruknęła:

— Bredzi.

A Andzia mówiła dalej:

— Pan doktor przyrzekł, że mnie wyleczy prędko. On nigdy nie kłamie...

Drzwi w tej chwili lekko skrzypnęły i przy łóżku stanął Wacław. Pochylił się nad chorą, która bezwiednym ruchem wyciągnęła ku niemu obie ręce.

— A, to pan! — szepnęła z bladym uśmiechem. — Tak długo czekałam. Myślałam że już umrę. Śniły mi się okropne rzeczy. Ta pani, co tu przychodzi, chciała mnie zabić.

Melania zbladła i zerwała się z krzesła, usuwając się daleko pod ścianę. Wacław spojrzał na nią zdziwiony.

— Co pani jest? — spytał cicho.

— Nic — odparła szeptem. — To dziewczę nie nawidzi mnie.

— Cóż znów!

— Tak jest, niestety.

— Dlaczego?

— Nie pytaj pan, ratuj chorą. Kiedyś ona to może sama wytłómaczy, ja... nie rozumiem.

Wacław zwrócił się do Andzi. Wyjął z kieszeni paltota lekarstwo, odkorkował je i nalawszy płyn na podaną sobie przez babunię łyżkę, zbliżył ją ku ustom chorej.

— Panno Anno, proszę to wypić.

Dziewczę, niby zbudzone z głębokiego snu, wlepiło w mówiącego spojrzenie badawcze, długie, a potem bez oporu przyjęło podane lekarstwo.

— Trzeba to brać cokolwiek — rzekł lekarz, zwracając się do babuni. — Lękam się, czy pani nie zapomni. Przez całą noc — dodał ciszej. — Nie można tracić czasu.

Nagle spojrzał na Melanię i podeszedł ku niej.

— Jeżeli staruszka zaśnie lub zapomni... o!... Wszak pani tu zostanie, nieprawdaż?... Ja muszę wyjść koniecznie.

Panna Bosińska pochyliła głowę i milczała przez chwilę. Potem rzekła:

— Czy zostanie!... Nie wiem. Czyniłam to tyle razy, ale dziś...

Wacław ujął jej dłoń i szepnął:

— Dziś potrzebne to bardziej, niż kiedykolwiek. Życie chorej zależy od kilkunastu łyżek tego lekarstwa. Jeżeli pani odejdzie, wszystko przepaść może.

— Czy pan pragniesz, abym została?

— Proszę o to! — rzekł i ścisnął dłoń trzymaną tak, jakby siła tego uścisku mogła być miarą jego prośby.

Melania szybko usunęła rękę. Na twarzy jej przez chwilę odbiła się jakaś walka wewnętrzna. Ale trwało to krótko. Oblicze przybrało znów wyraz spokoju i powagi, dłoń cofnięta wyciągnęła się, jak pierwsi, ku Wacławowi, a oczy zwróciły się ku chorej.

Lekarz pochylił się ku Melanii i rzekł:

— Ze wszystkich dobrych uczynków pani noc ta nieprzespana z pewnością nie najmniej szlachetnym będzie.

Zamilkli oboje, a w ciszy tej słyszeć było tylko ciężki i szybki oddech chorej, która leżała z oczami zamkniętymi.

Wacław zbliżył się na palcach do łóżka i popatrzył przez chwilę.

— Zasnęła — szepnął. — To silniejsze niż lekarstwo. Budzić jej nie można, lepiej czekać. — A zwracając się do Melanii, dodał: — Ale czuwać trzeba.

* * *

Po odejściu Wacława Melania czuwała istotnie, myśląc o tem, co słyszała przed chwilą. Myślała i pierwsi, gdy zobaczyła Andzię poraz pierwszy. Przypominała sobie czasy dawniejsze, marzyła o Jesiolkach, o szarym, omszałym ich dworze, o ogrodzie z długim szpalerem grabowym, o ludziach, których tam widywała, i o tem wszystkim, co kiedykolwiek ją tam spotkało. I teraz, na samą myśl o tej cichej, ubogiej strzesze szlacheckiej, jak niegdyś doznawała wzruszenia, którego natury nie badała jednak nigdy.

Przed wyobraźnią jej sunęły zwolna obrazy i widma z przeszłości, z tej przeszłości tak niedalekiej jeszcze, a urokiem swoim wiośnianej i słonecznej. Miała zaledwie rok szesnasty życia, gdy poraz pierwszy znalazła się pod dachem jesiółkowskim. Zawiózł ją tam brat w odwiedzinach ceremonialnych, nie przeczuwając wcale, że wprowadza do domu przyszłych przyjaciół. Odrazu spostrzegła, że wszystko tam inne, niż w Krzepinie. I ludzie, i sprzęty, i pojęcia i czyny. Naturalność i prostota ukazały się jej, jak rzeczy nieznane, a pociągające i zniewalające zarazem. Przystawały one doskonale do jej młodzieńczości. Gdy jęchała pod strzechę jesiółkowską, marzyła o tem, że zaimponuje tonem, wykształceniem i manierami tym ludziom ubogim i nieznanym „świata.” Stało się inaczej. Na jej wielkopańską spoglądano z uśmiechem, co onieśmielało ją w dziwny sposób. A potem nieśmiała, zbita z tropu traktowano z dobrocią i wyrozumiałością, z troskliwością ujmującą i imponującą Melanii, która w duszy przyznać musiała, że tu, w Jesiolkach, wszystko jest lepiej, bo bardziej połudźku.

Za pierwszymi odwiedzinami poszły następne, tylko już bez Tadeusza, a z rosnącą szybko swobodą i serdecznością. Po kilkakrotnej bytności panna Bosińska była u Wyżyków jak w domu, jak

w rodzinie. Jadała z nimi pogospodarsku, z Zosią uganiała się po ogrodzie, rumieniąc się od umęczenia nie jak panna z pałacu, a Wacława nauczyła się słuchać tak, jak gdyby był jej uprawnionym mentorem. Umiała całymi godzinami wpatrywać się weń, gdy czytał lub mówił, a często, gdy się młodzieniec zapędził i uniósł, wysłuchiwała gorzkich zarzutów, potępień, złorzeczeń, z których większa część dawała się bardzo trafnie odnosić do Krzepina. Niekiedy tłumione łyzy dławili ją, rumieńce wstydu paliły, ale w tych płomieniach duszyczka jej przetapiała się na złoto i odmieniała się zwolna, potem coraz szybciej.

Po takich przejściach „krwawych,” jak je mianowała sama, którym odpowiadało jej milczenie, ciche i coraz pokorniejsze, młoda dziedziczka pradziadowskiej niesławy ani na chwilę nie uczuwała żalu do mówiącego. Potem nauczyła się potakiwać mu, potem, gdy wracano do przedmiotów drażliwszych, poczyniała się śmiać wesoło i ochotczo, żartobliwie mówiąc za Jowialskim:

— Słyszeliście? To posłuchajcie!

Na tej drodze przyszło do zupełnej równowagi w pojęciach z dworkiem jesiółkowskim. Parę miesięcy wystarczyło na to zupełnie. Ale im głębiej gruntuwała się harmonia w Jesiolkach, tem widoczniej rwała się w Krzepinie. Tam córa rodu stawała się coraz bardziej milcząca i zamknięta w sobie. Gdyby brat uważał na nią troskliwiej, niż to czynił zazwyczaj, spostrzegłby niezawodnie, że Melania nie śmieje się teraz naturalnie i swobodnie, przemawia niechętnie, często z odcieniem dojmującej ironii, i służbę, nawykłą do bicia pokłonów jaśnie panom, traktuje pogardliwie. Prawie cały czas przepędza na czytaniu, stroniąc aż nadto widocznie od swego otoczenia. Spostrzegłby też z łatwością, że siostra zaczyna mieć jakieś dziwaczne kaprysy i upodobania co do stołu i obyczajów domowych. Tadeusz tłómaczył to sobie jej dojrzeniem, ale tłómaczył to źle i mylnie.

Kiedy Wacław wyjeżdżał po wakacjach z domu, w Jesiolkach nikt tego nie uważał za fakt wielkiej doniosłości. Wyżykowa położyła krzyżyk na głowie syna, Zosia uściśkała serdecznie brata z przełotną łzą w oku, służba, bardzo zresztą nieliczna, odprowadziła paniczka spojrzemieniami życzliwymi aż do pierwszego zakrętu na drodze — ona tylko jedna, Melania, uczuła coś, jakby pęknięcie jakiejś fibry serdecznej, jakiś chwilowy zamęt w głowie, a potem pustkę nieznośną w wyobraźni i umyśle.

Było to zresztą zjawisko, którego natury nie badała. Nie zastanawiała się i później nad tem, dlaczego ukazanie się Wacława na ferye świąteczne było dla niej wydarzeniem pierwszorzędnej wagi i dlaczego śpieszyła bardzo z powitaniem go do Jesiółek. Dzisiaj dopiero myśli o tem wszystkim i zastanawia się nad kilkoma ubiegłymi latami przeszłości, która tak bardzo i decydująco wpłynęła na jej duszę, a tak blado i zwyczajnie charakteryzowała się wydarzeniami. Melania nie może sobie przypomnieć nic, coby wybiegało na codzienną popolitost. Wszystko postępowało tak naturalnie, że zmęczona pracą pamięć nie mogła pochwycić ani jednego faktu, któryby ją do siebie przykuł potęgą wspomnienia.

Dumała, przypominała sobie, marzyła, a godziny biegły i za oknami mrok poranny ustępował począł złotym i purpurowym zorzom wschodu. W pokojach poddasza cicho było, nawet szybkie, głębokie oddechy chorej zamilkły i Melania, zaniepokojona tą ciszą, zbliżyła się na palcach do łóżka, aby spojrzeć na Andzię.

Dziewczę spało, oddychając lekko i równo, a łagodnie. Na twarzy nie było już płomieni, usta zbladły także — gorączka więc minęła. Młoda natura odniosła zwycięstwo. Chora była na teraz uratowana.

Al otóż poruszyła się — podniosła rękę i położyła ją na sercu. Usta jej ułożyły się do bladego, słodkiego uśmiechu, ale dziewczę nie obudziło się wcale. Melania pochyliła się i wpatrzyła bacznie w tę twarzyczkę zeszczuploną, ale piękną przez młodość i regularność rysów.

Spoglądała długo i szepnęła cichutko do samej siebie:

— Za tydzień, za dwa, to wątłe oblicze odzyska całą swą krasę i wszystkie swoje uśmiechy. Wtedy...

Wyprostowała się nagle, rzuciła spojrzenie swoje na chorą, potem skierowała je przed się, niby w jakąś daleką przestrzeń, i ciszej jeszcze z wyrazem niezmiernego bólu w twarzy, szepnęła:

— Więc to prawda... ja go kocham?...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Średniowieczna przysięga.

Zobaczyć pod koniec XIX-go wieku obraz wycięty żywcem z średniowiecznych zwyczajów i tradycji — to rzecz nader ciekawa. Tem ciekawsza, gdy biorą w nim udział przedstawiciele potężnego a postępowego narodu, który, przodując cywilizacji, nie chce jednak z form starożytnych, przez poszanowanie dla przeszłości, ani jednego zatracić szczegółu.

Obrazem takim jest przysięga, składana według form średniowiecznych, przez członków angielskiego parlamentu. Dla nas staje się ona tem ciekawszą, iż opisuje ją — kobieta. Wytrwałość bowiem cór Albionu zrobiła wyłom w prawach tych, nienaruszalnych napozór. W łóży parlamentu przeznaczonej dla przedstawicieli prasy zasiadła poraz pierwszy kobieta, jako sprawozdawczyni pism niewieścich, które, walcząc o równouprawnienie polityczne słabszej połowy rodu ludzkiego, żywo się biegiem spraw państwa zajmują.

Ustępstwo to nie było łatwe do pozyskania. Pełtyca o jeden fotel dla kobiety, wśród sześćdziesięciu miejsc, jakie obejmuje galeria korespondentów w Izbie gmin, spotykała się dotąd ze stanowczą odmową. Obecnie dopiero, dzięki wstawiennictwu jednego z wpływowych członków parlamentu, zasada przełamana została, a kobieta znalazła się tam, gdzie przed dziesięciu laty za nicby jej jeszcze nie ścierpiano.

Coprawda, wzamian za ustępstwo, okazuje ona srogą niewdzięczność, bo oto złośliwe uwagi z korespondencji, z której pojedyncze szczegóły, jako nader ciekawe a u nas nieznane, pozwalamy sobie dla czytelników naszych powtórzyć.

Wprowadzana przez członka parlamentu, wchodziła do gmachu prawodawczego jak do świątyni, z dreszczem obawy, z drżeniem lęku i czci głębokiej. Wrzawa i śmiechy, dochodzące z wewnątrz, nastrój ten zatarły poczęści.

Weszli tylnymi, wązkami schodami, o białe lakierowanej poręczy i nędznym dywaniku, schodami które grają historyczną rolę w dziejach Anglii.

Trupi zaduch uderzył korespondentkę; wobec mądrych i uczonych mów, jakie rozlegają się tutaj, świeże powietrze zbytciem byłoby.

Przyznano jej miejsce tuż przy balustradzie; było to skromne, białe krzesło, zielonym rypsem obite. Przechyliła się, obejmując okiem rozległą salę tego dziejowego trybunału Anglii. Jakis wyniosły jegomość w dużej białej peruce przemawiał właśnie. Peruka była wspaniała, w drobne pukielki i loczki ułożona, a dwoma harcapami (*haarzopf*) spadała na plecy. Poco mówił właściwie — niewiadomo, nikt go bowiem nie słuchał. Posłowie, jak chłopcy wypuszczeni na pauzę, chłopcy w połowie łysi, niestety, gawędzili i śmieli się, czekając na rozpoczęcie przysięgi.

Przysięga ta i odczytanie orędzia królowej były jedynym celem dzisiejszej sesji. Deputowani podchodzili, po pięciu w jednym szeregu, do stołu prezydyjnego. Każdy z nich trzymał w lewej dłoni rotę przysięgi, w prawej Nowy Testament, który na znak dany wszyscy z namaszczeniem całowali. Poczem, przeszedłszy do stołu, dźwigającego wielką księgę, zapisywali w niej swe imiona i ustępowali znów miejsca następnej piątce.

Ponieważ w Izbie gmin zasiada 670 posłów, nudna ta więc i monotonna ceremonia trwa długie godziny, nadając wprost śmieszną cechę zebraniu, przeciwną powadze chwili i namaszczeniu religijnemu, jakiego panować powinno. Skupienie ducha jednak nie może trwać dzień cały; podczas więc gdy pięciu ciągle przysięga, 665-ciu czem innem zabawia się i zajmuje.

„Wstyd, doprawdy — woła korespondentka, — aby mężowie, stanowiący czoło narodu, nie zdołali nadać przysiędze swej formy jednolitej, jednogłosnej, a głęboko wstrząsającej, lecz żeby w tym pierwszym dniu swej doniosłej działalności czynili wrażenie żaków, schodzących się po wakacjach do źle urządzonej i niedbale prowadzonej szkoły.”

Wejście do Izby parów uczyniło jeszcze ujemniejsze na korespondentce wrażenie.

„Przeprowadzono mnie — mówi, — przez większą ilość korytarzy i frontowe tym razem schody. Nie wierzyłam, iż znajduję się w najwspanialszym przybytku Anglii. Wydał mi się małym i ubogim. Zielony rypsy, pokrywający ławki w Izbie gmin, zastąpiono tu pąsowym, oto cała różnica.

Wszedłszy, spostrzegłam odrazu, iż zebrania odbywające się tutaj stanowią rodzaj taniego przedstawienia dla pań z arystokracji; ztąd tak dużo kobiet zajmuje tu lordowską galerią widzów. Członków zato — jak najmniej, dla ożywienia sesji zapewne. Wskutek próżni tej wszyscy zajmują się żywo paniami, a woźny o wielkim nosie, który naznacza im miejsca, pozwala sobie nawet na krytyczne uwagi! Ujrzawszy też mniej ładną i brzydko ubraną, mruczy:

— No, no, i to się nazywa płeć piękna!”

Punkt o drugiej wreszcie ukazało się trzech biskupów i kilku posłów, za nimi zaś lord kanclerz, który zajął pompatycznie miejsce na tradycyjnym, czerwonym wańtuchu. Ubrany w wielką białą perukę i suknię długą, szkarłatną, futrem obszywaną, czynił on wprost komiczne wrażenie. Prócz niego obszerne wańtuch pomieścił jeszcze czterech dżentelmenów, po dwóch z każdej strony kanclerza. Nagle lord kanclerz i asystenci jego z lewej strony nałożyli kapelusze; prawa strona zapomniawszy uczynić tego samego. Lord Portland więc został mocno szturchnięty łokciem. Pojawszy o co chodzi, podał znak dalej, a sam szybko wpakował kapelusz na oczy. I naraz pięciu chińskich mandarynów w ogoniastych szatach, białych perukach i pudłach

na głowie, pięć straszdeł usadowionych rzędem na długim worku, ukazało się oczom ciekawych.

Czy można się dziwić, że w sali z trudnością śmiech tłumiono?

Po chwili odczytano lakoniczne orędzie królowej. Przyjął je śmiech ponowny i — przeświecne zebranie pośpiesznie rozchodzić się zaczęło.

Oto jak wygląda zagajenie parlamentu, tego tak potężnego i świętego zebrania, iż kobiety nigdy do niego dopuszczone być nie mogły. Zobaczmy, czy zasiadłszy w niem, jako przedstawicielki połowy narodu, nie potrafią one zreformować śmiesznej dzisiejszej szopki, oraz nadać otwarciu parlamentu cech bardziej uroczystych, poważnych i podniosłych.

Anatol Krzyżanowski.



Zwolna, dosyć jeszcze skąpo, ostrożnie, poczyną się ruch wydawniczy, który dawniej o tej porze zasypywał półki księgarskie no-

wościami i charakteryzował się już wyraźnie. Wydawcy są teraz bardzo oględni w czynieniu nakładów, ale przyznać im się godzi wybór daleko starszy. Ukazują się też książki przeważnie naukowe, lub też przedruki dzieł, powtórzeń warty. Natomiast mniej starania o nowości oryginalne, a to, co się nazywa literaturą i jest nią w znaczeniu ścisłym, nie znajduje dosyć chętnych nakładców.

— Jako dobry symptom ruchu tegorocznego na polu wydawniczym powitać się godzi „Pieśni ludu,” zebrane przez Zygmunta Glogera, do których muzykę opracował Zygmunt Noskowski. W tym zbiorze, dosyć obfitym, a zgromadzonym w latach 1861—1891, kilkadziesiąt pieśni pozyskało szatę harmonii, bez naruszenia ich melodyi, która pozostała w książce taką, jaką jest w ustach ludu. W pięciu działach zawarto tu pieśni towarzyszące zwyczajom dorocznym, więc noworoczne, zapustowe, gaikowe, wiankowe, sobótkowe, dożynkowe, kołendy i t. p., jest ich 128; potem idą pieśni i śpiewki weselne (570), dumy i dumki (164), kujawiaki, mazury, kołysanki, wyrwasy, piosnki pasterskie i żartobliwe (434), a wreszcie krakowiaki (585). Razem tedy książka zawiera 1881 utworów fantazyi ludowej, z których część opracował prześlicznie Z. Noskowski, czyniąc je dostępnymi dla wszystkich, coby zapragnęli poznać klejnoty artyzmu ludowego, a także i twórczości dworów i dworków, fraucymenów i oficyn, które swojego czasu śpiewały ochoczo i dużo. Dzieło to zalecamy jaknajszerszemu ogółowi, dla którego przedmiot jego obojętnym być nie może.

— „Wielkiej encyklopedyi powszechnej ilustrowanej” wyszedł już zpod prasy tom VI, zawierający wyrazy od Austriacka konstytucya do Barthold Fryd. W. W tomie tym najobszerniej i wyczerpująco, jak na encyklopedyę, opracowane są: Azya, Bab, babizm (nowa nauka społeczno-religijna w Persyi), Babilon, Bakon, Baktery, Bałkański

półwysep i Banki. Tekst wylustrowano tutaj stu sześćdziesięcioma siedmioma rysunkami (drzeworytami) i czterema tablicami kolorowanymi. Całość wygląda imponująco, co się jednak tyczy trafności opracowania i wartości informacyjnej tego tomu, wykazać je może dopiero przyszłość. Dzieło zakrojono na rozmiary olbrzymie (w sześciu tomach, z których każdy zawiera 1000 stron, 2000 szpalt, a 120,000 wierszy, zdołano objąć zaledwie 1 1/4 litery), a według naszego zdania zaolbrzymie. Kiedy się to wydawnictwo pomnikowe skończy i czy się skończy istotnie? Wedle rachunku przybliżonego, na całość dzieła złoży się z 80 tomów, a na wydanie ich będzie potrzeba ze trzydziestu lat! Ilu przez ten czas abonentów wymrze, ilu od abonamentu odstąpi, ile się przedmiotów zestarzeje, lub w nowym ukaże światło?...

Jak się to rozpoczęło, tak oczywiście dalej postępować musi, lecz przyznać trzeba, że w tej „Encyklopedyi” dużo jest treści, wychodzącej poza granice i naturę dzieła. Usiłowanie, aby z pola prostej informacji encyklopedycznej wkraczać w dziedzinę krytyki, aby poza wiadomościami obiektywnymi trzymać się na stanowisku wykładu, musi z konieczności rozszerzać ramy wydawnictwa, a z drugiej strony niepotrzebnie stara się zastępować monografię. Wykład tedy na encyklopedyę jest zaobszerny, a na zbiór monografij załytki, zaścizny i niewystarczający. Wyraz *Architektura*, omawiany w jednym z tomów poprzednich, jest tego nauczającym przykładem. Praca bardzo obszer-na, bardzo bogato wylustrowana, ale mało informująca, a dziejami budownictwa głuźca treść właściwą. Usiłowanie też zdobycia wszechstronności i pewna drobnostkowość, że się tak wyrazimy, reporterska, powiększa dzieło. Przykładem tu znów jest wyraz *Barszczewska*. Zbytek to dokładności poświęcać całą szpaltę druku artystce, która dopiero kiedyś w „zawodzie tym stanie wysoko.” Krótkie objaśnienie wystarczyłoby doskonale.

Wielka szkoda, że z doświadczenia, jakiego się nabywa podczas pracy nad tak olbrzymim wydawnictwem, korzystać niepodobna! Wielka też szkoda że, jak się domyślam, przed rozpoczęciem trudu, tak z natury swej zacnego i na takie zasługującego uznanie, nie opracowano gruntownie i drobnostkowo planu całego dzieła. Widać to, niestety, w jego układzie i obrobieniu. Gdyby to dzisiaj było możliwe, redakcja sama zapewne usunęłaby dużo materiału, jako obciążającego balastu, bez którego cenne w sobie dzieło nicby na wartości nie straciło.

— Bardzo interesującą książką jest „Estetyka” Eugeniusza Verona, w pięknym przekładzie A. Langego. Autor tego dzieła w ostatnich czasach był wspominany często przez naszych postępowców artystycznych, w polemikach i... kłótniach, sypiących się przez czas jakiś jak z rękawa. Na Verona przysięgali oni wszyscy, jak ongi przysięgano na Arystotelesa, Platona, Hegla, Kanta, jak bardzo niedawno temu prostoduszni czytelnicy salonowi i salonikowi gotowi się byli zaklinać małym imieniem Lemckiego.

Podobało się „umysłem niezależnym” to, co Veron wygłosił we wstępie: „Niechaj artysta tylko obserwuje pozytywne zasady, wynikające z warunków fizjologicznych organów naszych, które jedynie są pewne i określone (warunki nie organa), a nie ma się co troszczyć o konwencyonalne recepty akademickie. Jest on swobodny, bezwzględnie swobodny w swojej dziedzinie pod jednym warunkiem, że będzie absolutny i szczery i że będzie starał się wyrażać takie myśli, uczucia i wzruszenia, które jemu

są właściwe, i nie będzie naśladował nikogo.” Ile warta ta... *recepta* nieakademicka swobody absolutnej, uprawniająca do wszystkich nonsensów *oryginalności*, niech sobie obliczają umysły nie *niezależne*, ale myślące i rozważne. Veron, jako estetyk, jest swobodny i niewątpliwie szczery, a jego książka ma wartość rzeczy wypowiedzianej ze stanowiska odrębnego, rzeczy ciekawej, nadającej się do dyskusji i przez to właśnie wartościowej. Fundament jego wiary estetycznej jest taki: sztuka jest naturalnym wytworem organizmu ludzkiego, szukającego rozkoszy w pewnych połączeniach form, linii, barw, ruchów, dźwięków, rytmów, obrazków. Gdy te połączenia wyrażają wzruszenia i uczucia duszy ludzkiej, rozkosz estetyczna bywa największa. Sztuki działają za pośrednictwem wzroku i słuchu, znajdują przeto wyjaśnienie w optyce i akustyce. Veron przyznaje jednak, że wyjaśnienie to nie jest zupełne: wiele zagadnień pozostaje do rozwiązania. To zaś, co się zazwyczaj zowie *wpływem moralnym* sztuki, mniej jest przystępne badaniu i pozostaje dociekaniom empirycznym (doświadczeniu i spostrzeganiu). Z tej strony estetyka nauką nie jest „Całą wartość dzieła sztuki stanowi stopień energii, w jakim objawiają się charakter intelektualny i wrażenie (?) estetyczne autora. Jedyną regułą, jakiej on trzymać się musi, jest konieczność pewnej zgodności ze sposobem rozumienia i czucia ogółu.. Niezgodność grzebie dzieło w zapomnieniu.”

Oto są podwaliny i zasady naczelné estetyki Verona, bardzo wymownej i przekonywującej dla swobody umysłowej, która w przyjęciu tej nowej ewangelii estetycznej zapomniiała, że każde dzieło sztuki istnieje nie tylko wobec współczesności, wobec chwilowego otoczenia, lecz i w stosunku do dziejowego rozwoju pojęć... Wedle Verona wszystko, co w dziedzinie sztuki nie jest zrozumianem dzisiaj, lub co jutro zrozumianem być przestanie, sztuką nie jest. Wedle niego, w prostej bardzo konsekwencji, błazeństwo operetkowe, rozumiane w danej chwili najłatwiej, wypowiedziane szczerze aż do bezwstydu, tyle warto estetycznie, co „Sąd ostateczny” Michała Anioła, lub „Piekło” Danta. Pozytywna użyteczność chwili i produkcyjność odpowiadająca najdogodniejszym warunkom zbytu — oto jedyna miara artystyczności dzieła. Nie mówi on tego jasno, ale to się czyta między jego wierszami. Z książki jego wyścibia różki coś więcej jeszcze: oto protest przeciwko wszystkiemu, co dotąd na tem polu zrobiono, w imieniu tej samej swobody, jaką ogłasza za jedyné prawo twórców.

Nie tutaj miejsce na rozbiór dzieła, które zyskało szeroką wziętość i wywołało dużo przewrotów w sztuce i umysłach. Zaznaczamy tylko jego wyjście w przekładzie polskim, a wskazując grunt, na jakim krzewią się twierdzenia autora, ostrzegamy zarazem, iż nie należy ich przyjmować za swoje bez głębszego zastanowienia i oceny.

— Humorystyka kalendarzowa ukazała się już w dwóch postaciach, znanych publiczności od lat kilku. Wyszły z pod prasy „Bak” i „Facet,” przeznaczone na rok przyszły, oba wesołe, dowcipne, suto wylustrowane i nieuganiające się wcale za tą strawą tłustą i pieprzną, która przez czas pewien dominowała w jadłospisie humorystycznym.

— „Biblioteki powszechnej,” wydawanej przez spółkę księgarzy, wyszły z pod prasy zeszyty 29—34. W kilku z nich zawarto przedruk „Ramo i ramotek” Wilkońskiego, w dwóch ostatnich zaś zbiorów obrazków literackich Wilhelma Feldmana, pod tytułem ogólnym „Jak w życiu.” W obrazkach tych autor dowiódł, że to, o czem pisał, zna z obserwa-

cyi drobnostkowej, głębokiej i ożywionej myślą poważną. Smutne dzieje chłopca uwieszonego, który z pod klucza wychodzi jak gdyby ze szkoły łotrostwa, historia Żydka, którego zabija rutyna tal-mudyczno-chederowa, to dwie prawdziwe perły tego zbioru, dwa klejnoty, błyszczące prawdą i wykończeniem.

Rz.

NIEGDYŚ.

(Z Heinego.)

Śniłem niegdys o namiętnych,
Słodkich ustach z róż,
Smętnych piosnkach i wiosennych
Malowidłach zórz.

* * *

Dziś rozprysły się marzenia
Jak świetlany krąg,
Zwiedły wonne, barwne kwiaty
Na kobiercach łąk...

* * *

Wiatr jesienny złote krasy
Z horyzontu zwał,
To mi tylko pozostało,
Com w swe rymy wlał.

* * *

Pieśni moje! — wspomnieniami
Upłynionych dni
Rozjaśnijcie choć na chwilę
Noc, co duszę ćmi!

Marya Chluska.

SYBILLA.

POWIEŚĆ

przez

F. C. Philips i C. J. Wills.

PRZEKŁAD

Zofii Grabowskiej.

(Ciąg dalszy.)

— Musi jej być teraz strasznie nudno, kiedy się panienki porożędzały i nie ma nikogo do gawędy, prócz przełożonej i Murzynki. Nie dziwiłbym się, gdyby mnie ze szczera radością zobaczyła za parę dni.

Gdyby się był pojawił zaraz, Sybilla nie myślałaby tak wiele o tym pięknie ubranym młodzieńcu z niepewnym spojrzeniem.

Samą nieobecnością swoją sprawiał to, że go sobie nie wyobrażała w myśli jakim był rzeczywiście

dosyć pospolitym chłopcem, lecz jakimby mógł stać się, sentymentalnym, cnotliwym, bohaterskim Pawłem, tym gorącym młodzianem, który ubóstwiał niezrównaną Wirginią.

Zaczęła i siebie porównywać z jego bogdanką. „Jam bogata i Wirginia także... Ona tylko co skończyła modną pensję, to drugie osobliwe podobieństwo pomiędzy nami.” Może to nie było w tem nic dziwnego, że po trzech dniach czytania arcydzieła St. Pierre'a, po trzech wieczorach uczenia się od miss Harvey tryktraka, spostrzegłszy niespodzianie Martina z zieloną książeczką w zadrzewionej dolinie wielkiego parku, Sybilla uśmiechnęła się, szczerze uradowana widokiem ślicznego chłopca, który zerwał się, żeby ją powitać zapytaniem o zdrowie.

Mr. Wiliam Martin poznał już dosyć Sybillę, żeby wiedzieć, że jeśli przystąpi do niej na spacerze i zaczepi ją, to będzie miał bardzo małą szansę rozmawiania. Dlatego, zobaczywszy ją, w pewne słoneczne popołudnie przechadzającą się z Nissą po wielkim parku, umyślił je podejść.

Ukrywając się przed ich wzrokiem, szedł ostrożnie z tyłu znaczny kawał drogi. Nakoniec spostrzegł że skręciły na boczną ścieżkę, która, jak mu było wiadomo, wiodła do dolinki, ocienionej wielkimi kasztanami. Zaczął biec i wyprzedził je. Obtarł twarz chustką, chłodził się chwilę, strzepnął kurz z butów, przyjrzał się sobie uważnie w lusterku, które wyjął z kieszeni, i podkręcił ufiksaturowane końce wąsików. Następnie wydobyl książeczkę „Idyls of the Kings” i nagle zatonął w studyowaniu poety-laureata. Gdy się odezwał do Sybilli, zdjął kapelusz z największym uszanowaniem; nie był to zaś lada jaki, lecz duży, szary, pilśniowy kapelusz tyrolski, a sposób uchylenia kapelusza także dużo znaczy.

— Ten kącik jest, mojem zdaniem, najpiękniejszy ze wszystkich pięknych ustroni w wielkim parku — rzekł. — To moje ulubione schronienie. Tu zwykle przychodzę czytać — dodał, kłamiąc wprawnie.

— Lękam się, żeśmy panu przeszkodziły — rzekła Sybilla prostodusznie.

— Bynajmniej — odparł badacz Tennysona. — Czy pani nie zechce usiąść? — dodał, wskazując na grubą pień, mogący wygodnie pomieścić dwie osoby.

Powiedział te słowa z taką miną, jak gdyby cała ta miejscowość należała do niego i jakby on, właściciel, witał jakąś kasztelanę z okolicy i prosił, by usiadła pod drzewami ogrodu jego przodków.

Doskonale odegrał rolę posiadacza i Sybilla usiadła na pnju.

— Tak — rzekła, — artyści są tego samego zdania i także siadają tutaj, w tem samym miejscu, żeby szkicować.

— Nie potrzeba oka artysty, by ocenić takie miejsce — sentymentalnie powiedział młodzieniec. — Nawet ten, co napisał tę książkę, oddał mu sprawiedliwość. Czy pani lubi Tennysona, miss Ross?

— Sama nie wiem; bardzo mało go czytałam.

Mr. Martin, ułożywszy sobie plan naprędce, otworzył książeczkę.

Sybilla była nieobeznana z życiem, młodą dziewczyną; było to parne popołudnie; piękny mężczyzna ze sporą dozą czelności siedział obok niej.

Jestże to dziwne, że jego nieco pretensjonalne czytanie pociągało ją do laureata. Martin był kawałkiem aktora, znał się na wartości znaków pisarskich i umiejętnie ceniował głos. Powietrze było gorące, ale w dolinie kasztanowej panował chłód. Prócz głosu Martina, nic nie przerywało ciszy; na-

wet dzieciół nie dawał znaku życia. Co się zaś tyczy Nissy, ta, siedząc w kuczki, przesuwiała w ciemnych, giętkich swych palcach różaniec. Muzułmanie bowiem, zarówno jak chrześcijanie, używają różańców. Była obecna, więc wymaganiom przyzwoitości stało się zadosyć.

Dla tej Indyanki było to najnaturalniejszą rzeczą na świecie; istotnie, zdawało jej się bardzo dziwnem, że jej młodej pani, dorosłej już siedemnastoletniej dziewczynie, nikt nie powiedział dotąd, że jest piękna. Ona sama była matką dzieciom w czternastym roku życia, tymczasem choć miss Ross śliczna jak Zulejka, piękny Jusuf jest jeszcze *in nubibus*. Gdyby Nissa czytywała Szekspira, to mogłaby zadać sobie pytanie: „Hare we not Hiren here” to jest czemu niema Jusufa, ukochanego Jusufa. Musiała tego rodzaju myśl przejść jej przez głowę, gdy uśmiechnęła się do siebie; ale usłyszawszy miarowe spadki głosu młodzieńca, przez intuicję odgadła, że mówi do jej wychowanki językiem miłości. Zdawało jej się to najnaturalniejszą rzeczą, że on czyta poezją dziewczęciu.

— Tak — myślała nakoniec, słowik śpiewa dla róży.

Młoda para wtajemniczała się dalej w dzieje Enidy i Sybilli, siedząc obok pięknego złoczyńcy, piła wielkimi haustami miłość, gdy subtelna, rytmiczna trucizna wylewała się z jego ust.

XIV.

Forteca poddaje się.

Co było przyczyną tego, czy poezja, czy spieka, czy nowość położenia, czy niedoświadczenie siedemnastoletniej pensjonarki, trudno wiedzieć, dosyć że Sybilla i młody Martin siedzieli dwie długie godziny na pnju artystów, pod temi wielkimi kasztanami. Nareszcie paniuszka odezwała się, że musi już odejść, a mr. Martin wyraził radość, że poemat jej się podobał, i nadzieję, że weźmie do kieszeni książeczkę i przeczyta całą, a jeśli mu jej nigdy nie odda, to go jeszcze bardziej uszczęśliwi. Miss zapewniła skwapliwie, że nie mogłaby nawet pomyśleć o wzięciu książki na własność, ale jej pożycz, bo mógł to być owoc zakazany, a ciekawość jej była silniej jeszcze podniecona, aniżeli nawet sentymentalną prozą romantycznego Francuza.

— Spotkamy się z pewnością za dzień lub dwa — powiedział Martin uspokajającym tonem.

— Będę miała staranie o niej — rzekła Sybilla, robiąc aluzję do książki, — a jeśli nie spotkamy się — dodała w niewinności duszy, — to ją panu podam przez płot naszego ogrodu warzywnego.

Oczy złodzieja zabłysły tryumfem; wszakże był tak szczęśliwy, że mu zaproponowano to, co w praktyce było schadzką, a zaproponowała mu ją uroczą, młoda dziedziczka, i to dziedziczka dobrego rodu, mówiąc jego językiem.

Może być, że „Idyls of the King” nie są właściwą lekturą dla bardzo młodej dziewczyny. Niema w tem nic nadzwyczajnego, że Sybilla czytała późno w noc, nabijając sobie główkę uczuciem mniej lub więcej prawdziwym. W głębi niewinnej duszy wyobrażała sobie, że jest Enidą, a wysoki młodzian, który siedział, tuż obok niej w małej dolince kasztanowej, bohaterem romansu. Jako rycerza swego, gotowa go była uczyć przy zdarzonej sposobności; poślubić, jeśli zażąda tego, albo umrzeć zań, jeśli zajdzie potrzeba. Po większej części mło-

de dziewczęta są gotowe umrzeć za przedmiot swej pierwszej miłości, albo przynajmniej wyobrażają sobie, że uczyniłyby to.

Mr. Martin był młody, przystojny, miał pozory gentlemena i znajdował dużo czasu i okazji do gorącego zalecania się Sybilli.

Opowiadał jej duby smalone, że srogie losy zmuszają go do poślubienia kobiety dwa razy starszej od niego, której nienawidzi, a to dlatego, żeby stworzyć wygodny dom dla swej schorowanej i owdowiałej matki.

— Nie litujesz się nademną, Sybillo? — zapytał, a ze słów tych można wnosić, że się już daleko posunął w zalotach.

— Mnie się to wydaje bardzo niedorzeczne i niegodziwe, kiedy pan mówisz, że nie kochasz tej pani — odpowiedziała.

— Jakżebym mógł ją kochać, kiedy ubóstwiam inną, inną, która, niestety, nie może być nigdy moją.

Sybilla zmieszała się.

— Kocham ją całem sercem — ciągnął dalej namiętnie, — ale nie śmiem jej tego powiedzieć. Gotowaby mnie posądzić o wyrachowanie, a nie mógłbym znieść tego!

Westchnął i spojrzał w oczy Sybilli.

Dziewczyna zadrżała na samą myśl o tej dumnej piękności, któraby śmiała choćby w tajnikach duszy przypisywać niską interesowność temu urodziwemu chłopcu, co stoi oparty o płot.

— Opowiem ci wszystko o niej, a wtedy zawyrokujesz, jako przyjaciółka moja, czy jest nadzieja dla mnie.

— Zatchórzliwa jestem na to! — wykrzyknęła i roześmiała się nienaturalnie, bo zdawało jej się w tej chwili, że błogie marzenia dziewczęcej miłości wymykają jej się z rąk.

— Imię jej zataję przed tobą przez delikatność, ale mi dasz radę, Sybillo, i stosownie do tej rady będę się trzymał, albo upadnę. Kocham ją szczerze, Bóg świadkiem, że ją szczerze kocham — dodał śpiesznym szeptem. — Nie chodzi mi o jej pieniądze, nie dbam wcale o nie. Ja kocham to dziewczę!

Tu spojrzał w duże ciemne oczy i na drgające usta dziewczki. Kochał ją niewątpliwie i zapomniał teraz zupełnie o jej pieniądzach.

— Pokochałem ją, Sybillo, kiedym pierwszy raz spojrzał na nią, a kiedym pierwszy raz rzucił na nią okiem, niema jeszcze miesiąca. Tego dnia, gdy ją ujrzałem pierwszy raz, wróciwszy do domu, popełniłem wielkie głupstwo. Zobacysz sama jej inicjały, a jak je zobaczysz, to mi powiesz czy jest dla mnie nadzieja.

Zawinął rękaw i obnażył sobie ramię; a dziewczyna westchnęła głęboko z zadziwienia i radości, zobaczywszy, że te trzy litery wyrysowane w środku serca na jego ramieniu są jej inicjałami.

— Czy mogę mieć nadzieję?

Naturalnie, mógł mieć nadzieję, wszelką nadzieję, jaknajwiększą nadzieję. Każdemu wiadomo, że dziewczyna zawsze odpowiada „tak” na pierwsze oświadczenie. Niejeden już usiłował wytłómaczyć ten fakt, ale się to niezbyt udawało. Jakikolwiek jednak przyczyny skłaniają paniuszkę, fakt pozostaje ten sam: zawsze odpowiada „tak.” Jak się nie można spodziewać po małym dziecku, żeby odmówiło piernika albo ciastka, tak młoda i niedoświadczona dziewczyna jest niezdolna odrzucić pierwszego wielbiciela. Czy z obawy zostania starą panną, czy z innej przyczyny, przyjmuje łaskawiej pierwszego wielbiciela. Jest to regułą bez

wyjątku. Nie można wprawdzie twierdzić, że wychodzi zawsze za niego: to całkiem inna rzecz.

Sybilla dała się łatwo usidlić Martinowi. Oblana żywym rumieńcem, zdała się na łaskę i niełaskę. Zaczęli wtedy prawić te niedorzeczności tak niesłychanie miłe i pełne znaczenia dla osób, które je mówią, tak naturalnie nasuwające się, te niedorzeczności, jakie większa część nas mówi choć raz jeden w życiu, bo gdybyśmy nie mieli sposobności do tego, to losy okazałyby się srogimi dla nas.

Na szczęście, płot był szeroki, bo z pewnością pocałowaliby się. Niedoświadczona dziewczyna zawdzięczała szerokości płota to, że jej nie shańbił pocałunek jej wielbiciela.

— Teraz, Sybillo, poproszę cię o wielką łaskę, o bardzo wielką łaskę — rzekł młodzieniec, — chciałbym, żebyś przyjęła odemnie ten pierścionecek.

Tu wyjął z kieszeni pierścioneck z opalami, które to kamienie są mylnie uważane za złowróżbne, ale mr. Martin nie troszczył się o to, czy mu przyniosą szczęście, czy nieszczęście; kupił je, bo były tanie i efektowne.

Biedna Sybilla zapłonila się znowu z radości, wsuwając pierścioneck na cienki swój paluszek.

— Wiedziałeś że ci odpowiem: tak? — rzekła z uśmiechem.

— Wyczytałem to z twoich ufnych oczu, moja najdroższa. Dziś nabyłem ten, a jutro kupię drugi pierścioneck.

— Drugi? Jutro kupisz drugi?

— Tak; drugi... inny... bo nie będę spokojny, Sybillo droga, dopóki się nie pobierzemy. Jesteś małoletnia, nużby rodzina stanęła pomiędzy nami? Z moją ciężką sprawą. Tacy to są dumni ludzie, takie trudne stosunki z nimi. A zatem chcą odgrywać rolę Opatrzności względem mnie. Dostatek tego. Nie będę dłużej znosił ich niedorzeczności, nie ulegnę tym razem. Jest to moje niezłomne postanowienie.

— Ależ my się nie możemy pobrać bez zezwolenia lorda kanclerza, bo sąd kanclerski wyznaczył mi opiekuna — rzekło dziewczę prostodusznie.

— Nie turbuj się... Zostaw mnie to wszystko. Ja sam wiem coś o lordzie kanclerzu i mój wielki przyjaciel zna się z nim zblizka i może od niego wszystko uzyskać. Dostanę list polecający do lorda kanclerza i nie mam najmniejszej wątpliwości, że się będę mógł rozmówić z tym starym gentlemem. Miłość utoruje sobie drogę; niema o to obawy. A gdy się pobierzemy, to będę o ciebie bardziej zazdrosny, niż pięćdziesięciu lordów kanclerzów.

Nawet narzeczeni muszą nakoniec rozłączyć się z sobą.

W kochających oczach Sybilli błyszczały łzy przy pożegnaniu z łotrem, któremu oddała serce.

Idąc przez stary ogród warzywny, wpatrywała się w swój klejnot na palcu i obcierała łzy z długich rzęs, uśmiechnięta radośnie. Lecz wróciwszy do domu, przez ostrożność zdjęła pierścioneck i włożyła go do woreczka z pieniędzmi.

Mr. Martin wygrał sprawę: był naręczony m dziedziczki indyjskiej. Ścisnął sobie rękę w duchu, klepał się po ramieniu i czynił różne postanowienia dobre i cnotliwe. Ani na jedną chwilę nie pomyślał o losie owej dziewczyny, która, idąc na targ z dzbankiem mleka na głowie, rachowała z przyjemnością urojone kurczęta, zanim się wykluły, i była szczęśliwa. Wtem tak niefortunnie poruszyła głowę, że dzban się stłukł, a mleko rozlało.

— Będziemy przebywali za granicą; nie dlatego żeby nam szło o pieniądze — myślał Martin, — ale będzie to najlepszy sposób dla mnie umycia rąk od tych wszystkich plugawych ludzi, z którymi się tu wdawałem. Nie przyjdzie mi to z wielką trudnością być teraz uczciwym. Za dziesięć lat będziemy mogli powrócić i osiedlić się tu, w starej Anglii, w jakiej ładnej posiadłości, niezbyt daleko od „małej wioski.” Wtedy popuścimy sobie wodze. Tak, wtedy wypłyniemy na pełne morze...

Rozmyślając w ten sposób, wyjął fajkę z kieszeni, nałożył ją i zapalił.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Jesień tegoroczna utrzymuje bardzo troskliwie zasłużoną dawniej sławę: wdzięczy się do nas, jak stara kokietka. Można jej jednak przyznać, że nie wszystkie jeszcze straciła powaby: jej słońce grzeje, jej powiewy rzeźwią, drzewa jej się zielenią, a kwiaty nie więdną. Na upartego może doczekać sędziwego jeszcze wieku — zarwać kawałek zimy.

A to wszystko naprzekór tym, którym się zdaje, że pierwsze przymrozki odpędzą lub zniweczą olbrzymią armią bakterii, toczącą walkę z ludzkością. Właśnie też! Kto tam wie napewno, co tym ichmościom szkodzi, a co pomagać może? To tylko rzecz niezawodna, że to ohydne psiarstwo dyabelnie lubuje się we wszelkich brudach i że nienawidzi zawzięcie mycia, prania, szorowania i t. p. Mówią tak specjaliści od wszelakiego rodzaju mikrobów, ergo lekarze, bo ich tylko smutnym obowiązkiem jest grzebać się w tych paskudztwach. Takie to już przeznaczenie fatalne! Ale, począwszy od przypatrywania się językom i języczkom, aż do chwytania tajemniczo podawanego sobie honorarium, biedni ci ludziska mają do czynienia z wszelkiego rodzaju... abominacyami. Przywykają do tego potrosze i niektórym nawet wcale z tem dobrze.

Chociaż na owo wciskanie sobie w „łapę” rubelków niektórzy narzekają i żalą się, a trzeba przyznać, że mają najzupełniejszą słusność. Wygląda to tak, jak gdyby dawano im z łaski, co im się należy przecież, i nie chciano ich upokarzać ofiarą czynioną jawnie.

Co za dziwne pojęcie rzeczy!

Twierdzą niektórzy... archeologowie, że jest ono pozostałością z tych niezmiennie dawnych czasów, kiedy jeszcze nie było lekarzy-fachowców na świecie, kiedy leczeniem trudnili się królowie, kapłani, wieszczbiarze i czarodzieje. Wówczas to leczenie było czynnością uświęconą, dobrodziejstwem, niekiedy cudem, a zawsze natchnieniem, za które płacić nie należało, bo żaden skarb opłacić go nie mógł. Potrosze zmieniło się to na zawód chlebobajny, ale zawsze otoczony czcią, należną wyższości. Poczęto leczenie opłacać, z początku bardzo hojnie, następnie skromniej, a jeżeli zmniejszenie wynagrodzeń lekarskich postępowało dosyć szybko, to działało się to równolegle z rozpowszechnianiem zwyczaju wzywania pomocy nawet wśród ludzi ubogich. Wstydzone się płacić mało, wciskano więc tajemniczo

należności swoje lekarzom, aby nie upokarzać samych siebie.

Wywód taki historii honoraryów lekarskich wydaje mi się dosyć prawdopodobnym, ale dziwi mnie tylko ociąganie się ze strony zmiany radykalnej, na którą chyba już pora.

Prawda, że wielu jest jeszcze lekarzy, otaczających się atmosferą niezwykłości i cudowności, ale ogół to najzwyczajniejsi ludzie, którzy okrom nauki nie mają nic więcej, coby ich wyżej ponad poziom zwykły podnosić mogło. Mają oni wszystkie potrzeby ludzkie, a między nimi i tę zasadniczą, jak na czasy obecne, że muszą mieć pieniądze, za który kupuje się chleb.

Sztuka ich, a raczej wiedza, jest dla nich zawodem czy rzemiosłem zarobkowym. Dają jej częstokę — nie darmo, bo im na to konieczność życiowa nie pozwala. Dają zaś wzamian — wet za wet, za gotówkę, która jest ich zarobkiem najuczciwszym, najbardziej prawnym, jakiego wstydzic się nie potrzeba. Zamiana rady lekarza na pieniądze pacjenta jest przecież aktem sprzedaży i kupna tak dobrym, jak wszystkie tego rodzaju transakcje. Może i powinna odbywać się jawnie — z ręki do ręki, że tak powiem, na oczach ludzkich i w pełnym oświeceniu.

Przyjdzie niezawodnie prędzej czy później do tego, że większość lekarzy (gwiazdy należą zawsze do wyjątków) opłacaną będzie wedle unormowanej i obowiązującej taksy. Wówczas będą oni sprawdzali dawane sobie wynagrodzenia, a to zniesie wszelką tajemniczość w płaceniu honoraryów. Lepiejby jednak było, aby z reformą nie czekano przymusu.

Co prawda, przyspieszenie jej zależy w znacznej części, a może i w zupełności, od lekarzy. Niechaj nie biorą... wstrętnych łapówek dotychczasowych, niech cofają ręce przed wciskaniem datkami, niechaj nie pozwalają sobie ubliżać płaceniem z ła-ski.

Sądzę zresztą, że płacenie takie szkodliwie oddziaływa przedewszystkiem na płacących. Gniewdzi im się w głowie uparcie myśl, że pomoc lekarska jest obowiązującą lekarza, że jest ona wynikiem poczucia ludzkości, któremu zadosyć czynić powinien on pod karą kłatwy społecznej, rzuconej przez opinią publiczną. I dlatego opinia ta zwraca się zjadale przeciwko każdemu lekarzowi, przeciwko któremu podnosi się jakikolwiek zarzut. Prawdziwy czy fałszywy — mniejsza o to!

Po kilkunastu latach praktyki zrozumiałem, czem być powinienem — mówił mi raz pewien medyk, — oto najniższym sługą publiczności, do której należą moje dnie i noce, moje zdrowie i rozrywki, mój spokój domowy i moje troski. Nie wolno mi osłabnąć ani na chwilę, ani znużyć się. Powinienem być czujny jak ptak na gałęzi, silny jak koń, wytrwały jak wół w jarzmie, ludzki jak... anioł. Bardzo pięknie! W nagrodę za te wszystkie zalety nieczłowiecze mogę się spodziewać w każdej chwili lekceważenia, które się objawia pod formą dobrotliwego datku, wciśniętego mi w rękę u drzwi wchodowych. A jeżeli osłabnę lub zaśpię, jeżeli zapragnę chwili rozrywki i odpoczynku, kiedy mnie ktoś z jaśnie wielmożnego ogółu powołać raczy, burza powstaje przeciwko mnie i zyskuje potęgę, zanim usprawiedliwić się zdołam.

Niestety, w tych kilku słowach jest bardzo dużo prawdy. Powtórzyłem je tu bardzo wiernie — na użytek j. w. ogółu. Niechże się nad nimi zastanowi...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* **Niedelikatność koleżeńska.** Przed siedmiu miesiącami doktor Konrad Dobrski, upoważniony przez towarzystwo ubezpieczeń „Przezorność,” rozesłał do kilkudziesięciu kolegów zawiadomienie, że mogą nadesłać oferty swoje i warunki, w celu pozyskania posad lekarzy ubezpieczeniowych. Na odezwę pana Dobrskiego odpowiedziano, jak należy, przesyłką żądanych warunków. Aliści od tej chwili, pomimo tak długiego oczekiwania, zaalarmowani lekkomyślnie koledzy nie dowiedzieli się o rezultacie tej sprawy. „Kronika lekarska” surowo zganiła postępowanie takie doktora Dobrskiego, pomiędzy obowiązkami którego nie najmniejszy winien mieć na celu poszanowanie korporacji, do której się należy. I wistocie, w ciele lekarskiem pierwszy to zapewne, a daj Boże ostatni, przykład tak jawnego lekceważenia kolegów. I zarazem objaw natury bardzo smutnej, dowodzący że i pomiędzy tak zwaną „inteligencją” dźiać się mogą rzeczy, zasługujące na potępienie.

* **Delegacja chmielarska,** dzięki zjazdowi producentów chmielu na jarmark warszawski, odbyła zeszłej niedzieli naradę doroczną pod kierunkiem pana Ludwika Rossmana z Bielawy. Mówiono o rozwoju jarmarku, o potrzebie rozesłania wiadomości o nim w najdalsze punkta państwa, o założeniu pisma, interesom chmielarstwa poświęconego, o stronności prasy zagranicznej względem chmielarstwa tutejszego, o pomieszczeniu jarmarku na przypadek sprzedania składów bankowych, a zakończono wysłuchaniem nauczającego referatu p. Józefa Rzętkowskiego p. t. „Siarkowanie chmielu.” Niestety, posiedzenie to odbyło się przy bardzo małej liczbie obecnych—jak to zwykle bywa u nas, a nie wszyscy też, którzy w sprawie posiedzeń takich początkowali, zrozumieli że nieobecność ich jest zarówno dla sprawy szkoda, jak dla nich samych kompromitacją. Chmielarstwo u nas jest jeszcze w powijkach i, jak każde niemowlę, potrzebuje bardzo troskliwego i starannego pielęgnowania, dziecię jednak nie rozwija się prawidłowo, jeśli jego nianki, zamiast czuwać przy kołysce, odbiegają go niebacznie.

* **Cykliści w nowej siedzibie** swojej wciąż dwóch dni bieżącego tygodnia odbyli wyścig. Publiczność, której było sporo, przypatrywała się z zajęciem temu turniejowi sportowemu.

* **Konsumcja mięsa w Warszawie.** Miasteczko nasze nie należy wcale do wyjątkowo mięsożernych, a jednak spożywa mięsa bardzo dużo... na oko. Oto cyfry z tygodnia zaprzeszłego. Zabito tu 1,512 sztuk bydła stepowego, 1,700 wieprzów, 1,806 baranów i 280 cieląt, a przywieziono mięsa wołowego pudów 3,927, baraniego pudów 1,800, wieprzowego pudów 232 i cielęcego pudów 128. Wcale dobra porcja! Trzeba nadto pamiętać, że polowanie na wiele gatunków zwierzyny i ptactwa już jest otwarte, że dostarcza ono także mięsa, które przychodzi też do miasta z kurników i gospodarstw, hodujących drób.

* **Cukier drożeje** co dni kilka, a jest smutna nadzieja, że zdrożeje do ceny 30 kop. za funt i stanie się dla wielu bardzo dotychczasowych konsu-

mentów artykułem nieprzystępnym. W wielu też rodzinach niezamożnych już obecnie ograniczono jego konsumpcję, ranne i wieczorne herbaty zamieniając polewkami, obchodzącymi się bez słodczy.

* **Niższa szkoła rolnicza** zostanie niezadługo otwarta we wsi Brzozowej, należącej do dóbr sobieszynskich, zapisanych Towarzystwu osad rolnych przez ś. p. Kajetana Kickiego. Kurs całkowity nauki w tej szkole trwać ma przez 2 lata, a wstępować do niej mogą młodzieńcy do lat 18 życia, posiadający świadectwo z ukończenia szkoły elementarnej dwuklasowej. Po ukończeniu kursu, uczniowie będą musieli przez rok jeden praktykować w jakimś lepszym gospodarstwie, poczem dopiero otrzymywać mają świadectwa z przywilejem trzeciej kategorii w służbie wojskowej. Opłata dla pensjonarzy wynosić będzie rocznie rs. 100, utrzymaniem i odzieżą, dla przychodniów rs. 6. Budynki dla szkoły mają być gotowe w roku 1894. Pomieszczenia w nich ma być dla 120 uczniów, w początku tylko dla 60.

* **„Ubogie lwice,”** sztuka Augiera, jest najświeższą nowością sceniczną na repertuarze teatralnym. Treść... oczywiście francuska, więc rzecz obraca się około tej miłości, która stała się już nadużyciem i skandalem. W utworze brak zupełny charakterów, postacie blade, a pieprzyk sytuacyjny nie głaszy bynajmniej pustki wewnętrznej. Ze strony sprawozdawców mnożą się pytania, odnośnie do sztuki, w jakim celu ją wystawiono, ale głośno sceniczny i bezprodukcyjność autorska dają dosyć jasną odpowiedź!

* **Zły zwyczaj, choć konieczny.** W wielu rodzinach, jeżeli nie we wszystkich, sceny wymówek służącym, że przynoszą czerstwe bułki i chleb, to rzecz prawie codzienna. Wiele też służących, które pragną szczerze zadosyć uczynić żądaniom państwa, radzi sobie jak może, aby cel taki osiągnąć. W sklepie z pieczywem przerzucają one bułki, próbują ich świeżości, gniołają je, a zanim taka bułka dostanie się na stół i znajdzie obok kawy i herbaty, operacja próbowania i gnienienia powtarza się z nią po razy kilkadziesiąt. Zanim zniknie w żołądku ludzkim, jest pierwej niby suchą ścierką, o którą obcierają się dłonie wielu osób. Między temi rękami niewszystkie są czyste, a między temi osobami niewszystkie są zdrowe. Tym tedy sposobem smaczna bułeczka, wybrana troskliwie, wygnieciona, staje się pewnym pośrednikiem w sprawie roznoszenia między ludźmi chorób najrozmaitszych. Czy jest jednak na to jakiś środek zaradczy?... Oczywiście znaleźćby się dał, gdyby go poszukano, a trudno przecież bułki przed zjedzeniem poddawać dezynfekcji. Karbol zamiast masła... oto przysmak! A, bądźco bądź, złe istnieje i zwracamy na nie uwagę. Lekceważyć go nie można.

* **Bójka straży ogniowych.** Według korespondenta do „Głosu” z Radomia, w mieście tem, posiadającym dwie straże ogniowe, miejską, ochotniczą, i kolejową, przy pożarze w dniu 23 z. m. pomiędzy temi korporacjami przyszło do starcia. Jak pokażało śledztwo, był to wynik niechęci osobistych ludzi, stojących po tej lub owej stronie. Niechęć ta znalazła więc sobie śliczną okazję do wybuchu w chwili pełnienia służby obywatelskiej! Przyszło potem do sądu koleżeńskiego (według ustawy), o którym też jest mowa w korespondencji. Sędziowie unikali jak mogli powinności, któraby ich stronom narazić mogła, a rzecz skończyła się usunięciem ze straży winnego i napomnieniem... niewinnego. Utrzymano tedy godność sprawiedliwości w zrównowa-

ważeniu stron obu i... tradycyjny honor sędziów z Osieka.

* **Stanhope,** któremu wszczepiono cholera, upatrując w tem szczepieniu środek właśnie przeciwochłeryczny, przebywa obecnie w szpitalu w Hamburgu i czyni wszystko, czego tysiączna część wystarcza, aby ktoś inny umarł ze strachu lub zarazy. Sypia nawet w towarzystwie dwóch chorych. Lekarze jednak twierdzą, że wszystko to niczego jeszcze nie dowodzi. Może mieć Stanhope bowiem odporność indywidualną w organizmie, któremu szczepienie było wcale, jako środek ochronny, niepotrzebne. Sama natura działa w nim... Wszakci to jedna jaskółka wiosny nie stanowi. Bądźco bądź, zawsze to zuch ten Amerykanin, który z taką rezygnacją, a nawet z lekceważeniem i humorem, zagląda w oczy śmierci. Dobrze się też dzieje „New York Heraldowi,” którego jest reporterem. Pismu temu od chwili wszczepienia Stanhope'owi zarazka, prenumerata wciąż rośnie jak na drożdżach, a przewyżka jej liczebna w tak krótkim czasie wystarczyłaby do uszczęśliwienia niejednego z wydawców warszawskich. Czy jednak ludzkość zyska cośkolwiek na bohaterstwie reportera — jest rzeczą najzupełniej wątpliwą.

Redakcja „Tygodnika mód i powieści” przyjmuje interesantów w sprawach literackich wyłącznie w poniedziałki i czwartki, między godziną 12—2 z południa.

Zbiorowe wydawnictwo powieści obyczajowych i humorystycznych

Alberta Wilczyńskiego,
autora

„Kłopotów Starego Komendanta,”

tomów 20, które z przesyłką pocztową kosztowały rs. 14, dla prenumeratorów „Tygodnika mód i powieści” **zniżamy na rs. 9.**

PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie		Na Prowincyi	
Rocznie	rs. 4.	Rocznie	rs. 5 k. —.
Półrocznie . . .	rs. 2.	Półrocznie . . .	rs. 2 k. 50.
Kwartalnie . . .	rs. 1.	Kwartalnie . . .	rs. 1 k. 25.

Adres: Redakcyi ulica Chmielna 26.

Numer 40 wyszedł z druku i zawiera:

Jesień (wiersz z drzeworytem). — Pogadanka naukowa. — Żeglarz nad żeglarze, opowiadanie z przed lat czterystu, przez Michała Synoradzkiego. — Nosorożce i tygrys (z drzeworytem). — Juliusz Verne: Zamek wśród gór, przekład Bronisławy K. (z drzeworytem). — Za przykładem babuni (z drzeworytem). — Dziwne wypadki (wiersz). — Rodzina, przez Henryka Wernica. — Pszczółka (wiersz). — Pracowity Franuś. — Opowiadanie o pewnym królu i trzech jego synach. — Odpowiedzi od redakcyi. — Łamigłówni.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

246-1-1

BURKI

'STROJNE, CIEPŁE I NADZWYCZAJ LEKKIE,
okrycia te są z materyałów double face, wyłącznie dla mnie fabrykowanych,
CENY NIZKIE.
W Warszawie, BOCUSŁAW HERSE, Senatorska 10.

Magazyn Futer i Konfekcyi Damskiej JAKOBA PAWEŁEK,
ulica Czysta Nr 6, w Warszawie.

Zaopatrzysz w wielki wybór wszelkiego rodzaju futer w najlepszym gatunku dla Dam i Panów, przyjmuje obstalunki na sezon bieżący i zimowy na wszelkiego rodzaju okrycia damskie jako to: **rotundy paryzkie, palta, zakłady angielskie** i wykonywa takowe podług najwziewszych żurnali paryskich i wiedeńskich, z własnych i powierzonych materyałów. Wielki wybór **mufek, kołnierzy, boa, czapek damskich i męskich** po cenach umiarkowanych.

16. Erywańska 16.

MME WANDA
239 2-3

Poleca nowości na sezon bieżący,
i przyjmuje całe wyprawy ze swoich
lub powierzonych materyałów.
Ceny najprzystępniejsze.

16. Erywańska 16.

Szkoła śpiewu M. Horbowskiego,
oprócz wykładów śpiewu solowego w Konserwatorium i u siebie w domu, rozpoczyna również u siebie w mieszkaniu kursa operowego, j. studyowanie całych partyj, a następnie próbowanie tychże na scenie z zastosowaniem akcyi, pod kierunkiem Matuszyńskiego reżysera opery. Nadto dla początkujących, udziela lekcye zbiorowe śpiewu solowego. Warunki na miejscu. Wspólna 2, od 3 do 5 240 1-3

249 1-1

PODZIĘKOWANIE

Skończywszy obecnie kurs Kroju oryginalnym systemem WORTH'A,
przy ulicy Nowy-Swiat Nr 59,
u pani **PILNIAKOWSKIEJ,**

uczennicy Worth'a, mamy sobie za miły obowiązek oświadczenia, że pani P. posiada szczególnie jasny wykład, a że system jest o ile najlepszy, o tyle łatwy, a pani Pilniakowska nie żałuje trudu i czasu przy nauczaniu go, to też nie dziwnego, że garną się do niej osoby nie mające pojęcia o kroju, również jak doświadczony w tym fachu a pragnące tylko zmienić system lub udoskonalić się, a wszyscy po pewnym przeciągu czasu odrabiają krawiecczyznę zgrabnie, z wdziękiem temu systemowi właściwym i bez poprawek za co pani Pilniakowskiej jako uczennice składamy niniejszem serdeczne podziękowanie:

Wacław Skrzypczyński, Marya Fijałkowska, Joanna Heirich,
A. Gajde, Aniela Chmielewska, Marya Łuczowska,
Władysława Krzemińska, Eufemia Wdowińska, Zofia Głowacka,
J. Krajewska, Amelja Czerwińska, Marya Macionas,
Platonida Sandecka, Helena Markowska, Salomea Szyfman.

FORTEPIANY, PIANINA
ORGANY.

I. HINZ
W WARSZAWIE,
Krucza Nr 8.

228-2-26

FABRYKA PLUSZU

2026-12

JAKOBA ROTHSTADT,

ŚWIEŹOJERSKA Nr 36,

poleca Plusze gładkie i w desenie, zwracając uwagę na jeden lekki i cienki gatunek, nie ustępujący w niczem zagranicznemu i mogący służyć na pokrycie futer.

ZATWIERDZONA PRZEZ WYŻSZĄ WŁADZĘ
SZKOŁA MALARSKO-PRZEMYSŁOWA
DLA PANIEN

otwartą została dnia 19 Września (1 Października) r. b. w Warszawie przy ulicy Senatorskiej Nr 36 (Plac Rezerwy Kupieckiej).

Prócz rysunków wszelkiego rodzaju w zakres nauk wchodzi: malowanie olejne, pastelowe, i akwarelowe, malowanie gobelinów, wachlarzy, porcelany, wypalanie rysunków na drzewie (Brandarbeit), Spritzarbeit i malowanie na drzewie, naśladowanie inkrustacyi, oraz artystyczne malowanie fotografii.

Zapisy przyjmuje codziennie od 1-ej do 4-ej po południu w pracowni własnej **Senatorska 36,** w nowostawianym domu W-go Seydla.

233 1-3

ALICJA NOWIŃSKA, artystka malarka.

KAZIMIERZ GRODZKI,

ulica **WIERZBOWA** (w Teatrze Wielkim).
NAJTAŃSZY ZAKŁAD OPTYCZNO-MECHANICZNY.

Poleca Okulary od 50 kop., Rajscajgi od 75 kop., Termometry od 20 kop., Suspensorya. Woreczki higieniczne i t. p. Wszelkie reparacye przyjmują się. 229 3-3

PŁÓTNO KNEIPPA,

224 1-6

CHYSTO LNIANE, BARDZO TRWAŁE, ZAPOBIEGA POCENIU SIĘ I ZAZIĘBIENIU.

Specjalna pracownia bielizny męskiej i damskiej pod osobistym kierunkiem właściciela.

WYŁĄCZNA SPRZEDAŻ W SKŁADZIE BIELIZNY

J. BILLING

129 Marszałkowska 129

firma istnieje od 1876 r.

JULJUSZ PANZER

1. WIERZBOWA 1.

Poleca w wielkim wyborze:

BURKI sławuckie damskie.

PELERYNKI, ZAKIETY i STANIKI trykotowe.

UBRANIA dziecinne.

PO CENACH PRZYSTĘPNYCH.

Obstalunki wykonywają się podług podanych miar i kolorów w ciągu dwóch dni.

Na żądanie wysyła się za zaliczeniem pocztowem.

230-3-3

Przygotowana i sprzedaż dozwolona na ogólnych zasadach handlu.



14310 50

WODA MEXICO
Feliksa WARESKIEGO.

Niezawodny środek przeciwko wypadaniu włosów, tworzeniu się łupieżu oraz nerwowym i reumatycznym bólom głowy.

Główny Skład: przy Składzie Aptecznym, **TŁOMACKIE Nr 13,** w Warszawie.

221 3-3

B. Karasińska.

Po długiej nieobecności wskutek przejęć moralnych, jakie mnie dotknęły, mam zaszczyt powiadomić Sz. PP. Klientki, że objawszy powrotnie mój magazyn, ze znaną sumiennością nadal prowadzić go będę, z czem polecając się łaskawym względem zostaje z szacunkiem **B. KARASIŃSKA, Plac Teatralny.**

Szkoła Rzemiosł
oraz Zakład Gimnastyczno Lecznicy
DLA KOBIET I DZIECI

Aleksandry Korycińskiej,
w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 17.
Zapisy przyjmuje. 219 4-4

Szkoła prywatna 2 klasowa męzka

z klasą wstępną
przy ulicy Zielnej 4.

Przygotowywa uczniów do klasy wstępnej, 1, 2 i 3 średnich zakładów naukowych tak rządowych, jako też prywatnych. Przyjmuje się nawet nie umiejących czytać i pisać. **Przełożony R. KOWAŁSKI** b. nauczyciel Szkół rządowych.

Pracownia ubiorów dziecinnych
H. WILKE,

z Krakowskiego-Przedmieścia z pod N-ru 15 przeniesiona na **Nowy-Swiat 62,** mieszkania 37. 239 1-6

Z dniem 1-ym Października r. b.

W ZAKŁADZIE **ZOFII GARBOWSKIEJ**

ZIELNA Nr 11,
otwiera się kurs, dla bon i osób pragnących zapoznać się z metodą Froebela.

Nowość!!! Garnitury mebli w całości
również Portyery, Palta, Okrycia, Suknie bez prucia i t. p.

Farbuję i Pierze
Farbiarnia i Pralnia Chemiczna
egzystująca od lat 30.
BEDNAŃSKA Nr 21 (front na parterze).